

Projekt „Planu Rozwoju i Konsolidacji Finansów Publicznych 2010-2011” został przedstawiony jako oficjalne stanowisko rządu i forma strategii politycznej na najbliższe dwa lata. Należy go zatem traktować jako poważną próbę intelektualnego zmierzenia się z istotnymi problemami stojący przed Polską. Niestety jest to próba nieudana i jego ocena nie może być pozytywna.

Po kilku tygodniach od ogłoszenia przez premiera Donalda Tuska „Planu Rozwoju i Konsolidacji Finansów 2010-2011” polskie życie polityczne wróciło na stare tory. Znowu emocjonujemy się jak wypadł ten, czy tamten polityk przed tą, czy tamtą komisją. Oczywiście dochodzenie kto kłamie, a kto korumpuje jest istotne, ale co najwyżej w skali mikro. Przede wszystkim jednak jest łatwiejsze do zrozumienia, także dla samych polityków. Ten mechanizm świetnie opanowali wizerunkowi doradcy premiera Tuska. Tymczasem głębokie problemy makro, które wymagają widzenia spraw jednocześnie w szerokiej skali i w nudnych detalach łatwo umykają naszej uwadze. Wiele wskazuje na to, że z kolei sam premier Tusk zaczął wreszcie widzieć sprawy wyraźniej w tym wymiarze, czego poszlaką może być jego rezygnacja z ubiegania się o prezydenturę. Wiele też wskazuje na to, że opozycja wciąż nie jest do nowego rodzaju walki dobrze przygotowana.

Problem polskich finansów publicznych, czyli naszych wspólnych pieniędzy nie został bynajmniej rozwiązany wraz z publikacją „Planu rozwoju i konsolidacji”. Co więcej, w pewnym sensie jeszcze bardziej się pogłębił – zobaczyliśmy, że premier nie chce lub nie umie postawić sprawy wprost i że nikt nie potrafi go do tego zmusić. Tymczasem sprawa dotyczy tego, jak dysponujemy ok. 40% polskiego PKB (640 mld zł w 2010 r.). Rosnąca waga tego problemu sprawia, że jego zrozumienie pozwoli być może zobaczyć w innym świetle zachowania najważniejszych polskich polityków. Polska polityka w swojej miękkiej jałowości dociera bowiem do pewnych twardych granic, poza którymi decyzje muszą być podejmowane w pełni odpowiedzialnie. Z kolei ich niepodjęcie grozi nam osunięciem w kłopoty, które dziś mają kraje takie jak Węgry, Grecja, Portugalia, Hiszpania, Włochy, a za chwilę dzielić mogą Wielka Brytania, Francja, czy Belgia.

[mc4wp_form id="84"]

Po dwóch latach budowania popularności na szyderstwach z opozycji i okrągłych frazesach, Donald Tusk przedstawił kolejny plan – de facto plan ataku 5. miejsca Hiszpanii w szeregu największych gospodarek europejskich. Tymczasem pytanie brzmiało: jak uratować polskie finanse publiczne? Premier powinien być zatem twardo aż do skutku dopytany – zarówno przed media i ekspertów czyli tzw. opinię

publiczną, jak i przez opozycję – jak realnie zamierza doprowadzić do zamknięcia tego, co nazywa się luką fiskalną. Ale w Polsce w tym pytaniu chodzi o zdecydowanie więcej, niż tylko kwestię, jakie cięcia wydatków i podwyżki podatków muszą zostać dokonane, by doprowadzić do równowagi długoterminową sytuację budżetu. Tak naprawdę jest to pytanie o całe 20 lat polskiej transformacji i cel, do jakiego ona zmierza. Jest to po prostu pytanie o model polskiego kapitalizmu.

Po pierwsze bowiem podstawowym źródłem niepodatkowych dochodów, z których ochoczo chce korzystać w najbliższych latach rząd jest prywatyzacja. Pomińmy kwestię sensowności prywatyzowania w czasie kryzysu. W Polsce od 20 lat obowiązuje dogmat „dokończenia prywatyzacji”, chociaż nikt nie chce wyjaśnić, co dokładnie w warunkach Polski, państwa postkomunistycznego, oznacza owo dokończenie prywatyzacji. Wiemy już, że na pewno nie oznacza reprivatyzacji. Raczej oznacza sprzedaż – obok wielu drobnych przedsiębiorstw, które państwowymi być nie powinny – monopoli naturalnych, wytwórców energii oraz spółek chemicznych i telekomunikacyjnych, a w dalszej kolejności poczty i kolei. Jak uroczu ujmuje to „Plan rozwoju i konsolidacji”: „prowadzić będzie to do zmiany własności państwowej, na bardziej efektywną, prywatną”. Nie dodaje jednak, że będzie to własność zagraniczna i że niekoniecznie prywatna. Czy zatem koniec prywatyzacji polega na sprzedaży polskich spółek państwowych kontrolowanym przez inne państwa przedsiębiorstwom zagranicznym? W jaki sposób jest to długoterminowo dobre dla polskiej gospodarki? Czy tak dobre, jak państwowa francuska „Telekomunikacja Polska” (sic!)?

Po drugie, liczba miejsc pracy w Polsce zmniejszyła się z 17,5 mln w roku 1989 do 13,7 w 2008. Wszystko w sytuacji wchodzącego w międzyczasie na rynek pracy wyżu demograficznego. Jest to w dużej mierze efekt niezdolności polskich polityków do poradzenia sobie ze skutkami filozofii gospodarczej Leszka Balcerowicza. Nie radzi sobie z nimi zresztą sam Balcerowicz. Przez ostatnie 20 lat, by utrzymać w ryzach statystyki bezrobocia, systematycznie zwiększaliśmy liczbę emerytów – najwięcej w latach 1991-1993 oraz 2004-2008. Z kolei nasz tzw. boom edukacyjny jest efektem świadomego opóźnienia wejścia na rynek pracy milionów młodych ludzi, dla których pracy nie było. Gdy młodzi zaczęli (marną) edukację kończyć wypchnęliśmy ich – któryż to już raz w historii? – na emigrację, ciesząc się ze swobody przepływu ludzi w UE i spływających transferów. Teraz, kiedy największy kryzys dotknął Wielką Brytanię, Irlandię i Hiszpanię trzeba będzie ponownie tworzyć miejsca pracy w Polsce. Tymczasem wskaźnik bezrobocia w prognozach wskazuje ok. 10% i ani myśli drgnąć.

„Plan rozwoju i konsolidacji” odpowiada na ten problem nie wprost. W drugiej części prezentuje się nam wizję polskiej cyfrowej administracji, gospodarki opartej na wiedzy i innowacjach, tworzącej wysoką wartość dodaną i budującą przewagę konkurencyjną na jakości. To bardzo słuszne i potrzebne w świetle perspektyw demograficznych. Ale „użytkownikami” tej gospodarki mają być dopiero nowocześnie wyedukowane w zreformowanym szkolnictwie pokolenia niżej! Wracające ze zdobytymi na emigracji raczej dość „tradycyjnymi kompetencjami” pokolenie boomu edukacyjnego lat 90. szczególnie wysokim poziomem innowacyjnej przedsiębiorczości się nie cechuje. Dobrze jeśli stworzy sobie ono miejsca pracy samo, dobrze również jeśli przyciągnie globalne centra outsourcingu usług. Ale co z polskim – innowacyjnym czy nie – przemysłem?

Po trzecie bowiem, polska gospodarka – o czym chyba mało kto wie – jest trzecim największym dostarczycielem nadwyżki handlowej dla gospodarek strefy euro po Wielkiej Brytanii i USA. Od stycznia do listopada 2009 r. polska zielona wyspa wzrostu dała pogrążonej w kryzysie Europie o 14,5 mld euro więcej, niż od niej uzyskała. Rok wcześniej było to 25 mld euro, czyli więcej, niż wynosi dziś deficyt finansów publicznych. O ile tamte dwa kraje – których deindustrializację naśladowaliśmy – ujemne bilansy handlowe w jakiejś mierze i do czasu rekompensowały wielkimi przepływami finansowymi, o tyle Polska od 20 lat notuje ujemne salda rachunku obrotów bieżących, które maleją tylko w trakcie kryzysów, by wybuchać ponownie w czasach wzrostu. Czy na tym polega zdrowy wzrost?

Nie zmieniły tego do tej pory nawet transfery funduszy unijnych – których wykorzystanie w stosunku do sum dostępnych dla nas do 2015 r. jest jak dotąd śmiesznie niskie. „Plan rozwoju i konsolidacji” przedstawia na stronie 52. bardzo interesującą tabelkę, z której wynika, że po zakończeniu obecnej perspektywy budżetowej wpływ funduszy na polską gospodarkę będzie... ujemny. Oznacza to, że jeśli do 2015 r. nie wykorzystamy puli ok. 280 mld zł, pokryzysowa reforma unijnej redystrybucji – nastawiona na tzw. zielony wzrost, o którym mówią dziś w Brukseli wszyscy płatnicy netto – może po prostu przynieść nam tylko dodatkowe koszty. Na to nałoży się gigantyczny podatek ekologiczny nałożony na polską energetykę przez unijny pakiet klimatyczny czy olbrzymie sumy, które będą musiały wydać polskie szpitale, by sprostać nowym unijnym normom sanitarnym. Nie mówiąc już o infrastrukturze kolejowej, której rozpad (30%!) może zablokować budowę infrastruktury drogowej. Innymi słowy, musimy w ciągu najbliższych 5 lat bardzo intensywnie inwestować, by po tym okresie w ogóle móc korzystać na byciu członkiem Unii Europejskiej. A to oznacza zadłużanie się.

Tymczasem nas już dziś na zadłużanie się po prostu nie stać. Rządowa „Strategia zarządzania długiem sektora finansów publicznych na lata 2010-2012” przewiduje, że dług publiczny utrzymywać się będzie w tych latach jakieś ćwierć procenta poniżej progu 55% PKB, poza którym budżet w następnym roku musi być zbilansowany oraz nie może udzielać i gwarantować pożyczek i kredytów, zamrożone są wynagrodzenia pracowników państwowej sfery budżetowej, a waloryzacja rent i emerytur nie może być większa, niż inflacja. W praktyce oznacza to, że bez podwyżek podatków z polskiej gospodarki znika skokowo ok. 70 mld złotych, a program upragnionych przez Polaków autostrad staje w miejscu, bowiem jego finansowanie wymaga rządowych gwarancji. Z kolei chcąc utrzymać wszystkie inwestycje musielibyśmy zwiększyć dochody z podatków o 27%. No chyba, że ktoś wierzy, że dziura zniknie sama, bo przez najbliższą dekadę Polska będzie notować wzrost gospodarczy rzędu 8%...

Cały ten problem jest przez „Plan rozwoju i konsolidacji” premiera Tuska kwitowany z rozbrajającą szczerością i miażdżącą siłą tautologii: „Warunkiem koniecznym do osiągnięcia stabilności finansów publicznych [na poziomie średniookresowego celu budżetowego] jest wcześniejsze zmniejszenie nierównowagi finansów publicznych, co będzie wymagało podjęcia odpowiednich działań, wykraczających poza przedstawione w niniejszym Planie” (s. 7). Owszem, jest to plan przedstawiający bardzo atrakcyjną wizję nowoczesnej aparatury zarządzania finansami publicznymi, której samo wprowadzenie byłoby już wielką reformą. Nie odpowiada jednak na pytanie jak obciąć wydatki sztywne, na których straży nie stoi bynajmniej opozycja, czy prezydent, ale Trybunał Konstytucyjny i doktryna praw nabytych. Innymi słowy jest to plan konsolidacji elektoratu, a nie finansów publicznych.

Minister Rostowski a za nim premier Tusk zakładają najwyraźniej, że wszystko pójdzie zgodnie z bardzo ryzykownym scenariuszem – doczekamy się wysokiego wzrostu gospodarczego po 2012 r., żyjąc za pieniądze z masowej prywatyzacji i „ślizgając” się na niewysokiej inflacji. Ekonomiści OECD, którzy takiego scenariusza nie założyli, uznali, że w 2011 r. będziemy już na poziomie długu wielkości 66% PKB. Najprawdopodobniej oba scenariusze są błędne. Tak czy owak, istnieje bardzo poważne ryzyko, że w 2011 lub najdalej 2012 r. przejdziemy magiczny próg 55% PKB zadłużenia. Prawdopodobieństwo tym większe, że będą to lata wyborów prezydenckich, samorządowych i parlamentarnych, które premier Donald Tusk chce wszystkie wygrać! Gdybym był złośliwy, życzyłbym mu w nich zwycięstwa.